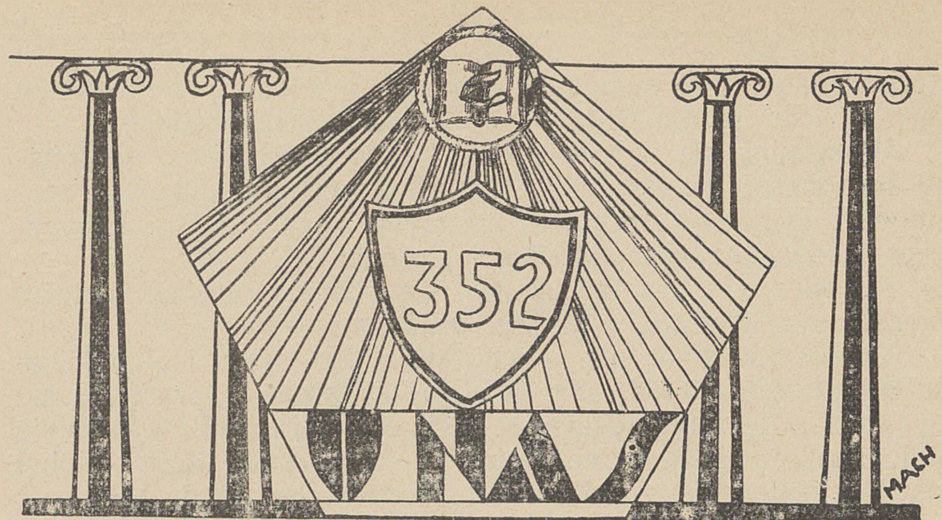


Kwiecień 1935 r. **NUMER 6.**

Cena 20 gr.

MIESIĘCZNIK MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ—DĘBICA.

W rocznicę śmierci

Ś. p. A. Skwarczyński urodził się w r. 1886 w Wierzchni w Małopolsce Wschodniej.

Gimnazjum i uniwersytet kończy we Lwowie, studjując polonistykę. Już podczas pobytu w szkole pracuje w niepodległościowych kółkach młodzieży. Potem bierze żywy udział w ruchu socjalistycznym, stając się jednym z najbliższych towarzyszy pracy Józefa Piłsudskiego. Pracuje również przy organizowaniu Związku Strzeleckiego: Po przeniesieniu się do Warszawy zakłada redagowany wspólnie z Januszem Jędrzejewiczem dwutygodnik „Rząd i wojsko". Po wykryciu tegoż przez władze rosyjskie zostaje aresztowany i osadzony w więzieniu. Po wyjściu z więzienia w r. 1917 redaguje nową gazetkę p.t. „Droga", a po roku 1926 „Nakazy chwili". W r. 1927 obejmuje referat spraw społecznych i kulturalnych w kancelarji cywilnej Pana Prezydenta. Tam pozostaje do ostatniej prawie chwili życia.

Te oderwane momenty z życia ś p. A. Skwarczyńskiego byłyby dla niejednego suchemi tylko faktami bez znaczenia, gdyby się nie zwróciło uwagi na potęgę jego ducha. Najlepiej charakteryzują ś. p. A. Skwarczyńskiego słowa ministra W. R. i O. P. p. Jędrzejewicza z jego przemówienia nad grobem przyjaciela.

„Duch Jego jak słup żywego ognia jest pośród nas, wśród

nas i w nas żyje, nieugięty w pracy, niezłomny w sumieniu i myśli, wciąż jednak żarliwy w miłości rzeczy wielkich".

Wczytajmy się w życiorys ś.p. Skwarczyńskiego, wedrzyjmy się umysłem i sercem w sferę Jego myśli i uczuć, a zrozumiemy tę potęgę ducha, to niezłomne dążenie do najwyższych celów: odzyskania Polski i służenia Jej.

A skoro pierwszy z nich stał się rzeczywistością, wytężył On całą swą energję, by służyć drugiemu.

Odtąd wszystkie siły swego gorącego serca i głębokiego umysłu poświęca pracy dla Polski i Jej jutra. W pracy tej nie zapomina o Jej najmłodszych synach, o młodzieży. Przygotowuje ją do służby państwowej, dając jej wskazania, które zdobył doświadczeniem w twardej szkole życia. Chce młode pokolenia wychować na takich obywateli, którzyby za swój najwyższy obowiązek uważali służbę dla państwa. Chce nauczyć młodzież pracy realizacyjnej, produktywnej. W tym celu zakłada organizację pracy obywatelskiej młodzieży, „Straż Przednią", której na zawsze pozostanie nauczycielem i przywódcą duchowym.

KWIATKOWSKI KAZIMIERZ.

Jeszcze o B. Głowackim.

Z zasadniczą myślą, wyrażoną przez kol. Wepsięcia na początku jego artykułu „Bartosz Głowacki w nowszej poezji chłopskiej" — zgadzam się. Czasem istotnie względy „ideologiczne" wpływają na jednostronną interpretację pewnych faktów historycznych przez „oficjalnych" dziejopisów — ze szkodą dla właściwego ich zrozumienia i wczucia się w ducha epok minionych. Czy takie nastawienie do przedmiotu, mające w pewnych wypadkach prawdę historyczną, niezbyt budującą — wybielić — jest racjonalne i zdrowe — nie wiem. Wydaje mi się jednak, że względy dyktatyczne, każące wymowę dziejów wtłaczać w ciasne ramki jednostronnego „ideowego" schematu — nie powinny być w żadnym razie przez dziejopisarzów uznawane, gdyż historja wtedy jest „mądrością narodów", gdy nie jest dowolnie naginana do różnych zgóry postawionych celów.

O ile jednak chodzi o Bartosza Głowackiego i dzieje jego życia po powstaniu kościuszkowskiem — zaszło nieporozumienie.

„Kumac", poemat chłopski, napisany przez p. Skuzę — nie może być — niestety — „odpowiednikiem" w sprawie prawdy historycznej, związanej z osobą bohatera zpod Racławic. Głównym tego powodem, któremu autor dziełka wypowiedział walkę jest jednostronność.

P. Skuza — być może, nie wiedząc o tem, zadał sobie cios własną bronią. Wojując z „zakłamaniem historji", „urzędową tendencyjnością", „sugestjami wychowawczemi" preparowanemi przez „czynniki oficjalne" — zapomina o tem, że popada sam w krańcowość, przedstawiając epokę kościuszkowską w barwach przesadnie ponurych, przedewszystkiem o ile chodzi o

stosunki społeczne, wówczas panujące. Smutny koniec karjery Głowackiego miał stać się jaskrawym dowodem, jakiem kłamstwem było pojednanie się szlachty z ludem.

Poeta, pragnąc sprawę tę wyświetlić, wydzierając tajemnicę z rąk schludnych dziejopisów i odkryć „wstydliwe kulisy legendy" — twierdzi, że Głowackiemu pan jego, Szujski, ziemię odebrał i oddał go w rekruty.

Opiera się jednak na jednem, jedynem źródle historycznem, mianowicie na pracy Ludwika Nabielaka, p. t. „Tadeusz Kościuszko, jego odezwy i raporta, uzupełnione celniejszemi aktami, odnoszącemi się do powstania narodowego 1794", który tak właśnie, jak w „Kumaciu", dzieje Głowackiego opisuje.

Już ten jeden szczegół silnie może zakwestjonować objektywizm p. Skuzy Czyż bowiem można uważać za wiarygodną wersję Nabielaka, której przeciwstawić się może cały szereg aktów, zupełnie inaczej sprawę tę przedstawiających? Czy wobec tego autor „Kumaca" może uchodzić za rewelatora skrzywionej rzekomo prawdy historycznej? Chyba nie.

„Pamiętniki Józefa Drzewieckiego" wspominają wprawdzie o pewnym kosynierze, który, jako rekrut w armji austrjackiej, dostał się do Legjonów Dąbrowskiego, nie był nim jednak Głowacki, lecz jego towarzysz broni zpod Racławic — Świstacki. Już to jedno wystarcza na obalenie fałszywej wersji, aprobowanej przez p. Skuzę w „Kumacu".

Istnieje jednak cały szereg danych, urzędowych i nieurzędowych, łączących śmierć Głowackiego z bitwą pod Szczekocinami. Stwierdzają to zeznania chłopów z Rzędowic, urzędowy dokument, znajdujący się w aktach parafjalnych w Koniuszu, „Pamiętnik kielecki", określający miejsce, gdzie Bartosza pochowano i in.

Niema więc przyczyny, aby, opierając się na jednej danej, podnosić alarm w obronie zagrożonej prawdy historycznej. Pozostaje sprawa odebrania gruntu Głowackiemu przez Szujskiego. I to okazało się fałszem. Jak bowiem stwierdzono — czynu tego Szujski nigdy nie popełnił. Natomiast niejaki Paszewski, który kupił dobra Szujskiego, odebrał część gruntu — wdowie po Głowackim. Był to czyn niepiękny. Niewiadomo jednak, czy Paszewski wiedział o nobilitacji Bartosza. W każdym razie traktowanie Szujskiego, jako symbolu hipokryzji i niesprawiedliwości szlachty jest nieuzasadnione i krzywdzące.

Widzimy więc, że tak źle, jak to autor „Kumaca" przedstawił — nie było. Prawda, że stosunki społeczne nie były wtedy idealne. Ale gdzież było lepiej? Czy wszelkie dobro nie nadchodzi drogą powolnej i żmudnej ewolucji. Czy można wobec tego uznać tak ważkie oskarżenie na szlachtę polską? Chyba nie.

Bartosz Głowacki — na całe szczęście — nie wypowiedział słów:

„a niechaj ta będzie
oj, jaka chce ojczyzna,
byle nie ten — Szujski —
byle nie — pańszczyzna —"

a i Szujski nie „kopnął go w zadek butem" i nie pognał w rekruty.

Tym razem kampanja nie udała się, a „Kumac" może być tylko przykładem pewnej charakterystycznej dla poezji robotniczo-chłopskiej tendencyjności,

Bartosz Głowacki pozostanie nadal symbolem chłopa polskiego, który prawdziwą ofiarością i męstwem starał się zyskać należne prawa społeczne, w pełnem zrozumieniu solidarności chłopa z panem w obliczu wspólnego wroga.

Mach Wilhelm.

Z powodu przeoczenia recenzję imprezy klasy II umieszczamy w tym numerze.

REDAKCJA.

Świetlica klasy II A.
(recenzja).

Świetlica klasy II. A. urządzona dnia 2. III. w auli gimnazjalnej przewyższyła wszystkie dotychczasowe tak po względem treści, jak i dekoracyjnie. Kilka numerów śpiewanych oraz żywe tempo tańców stworzyły widowisko niezwykle harmonijne i w dobrym utrzymane smaku. Część humorystyczna, w której scharakteryzowano zresztą bardzo dowcipnie każdego z uczniów tej klasy, wypadła stosunkowo najsłabiej, jakoże mało dawała pola do popisu; natomiast, chór który pod batutą jednej z koleżanek odśpiewał wiązankę pieśni góralskich, zaprezentował się znakowicie, a brawa, świadczą dobitnie o tem, że nie zauważono małych tu i ówdzie występujących wyraźnie słabizn. Koroną widowiska były tańce góralskie i taniec fantastyczny mgieł. Pierwsze odznaczały się żywiołowościąi temperamentem, którego nie brakowało wykonawcom. Podobały się też wszystkim ogromnie, ponieważ wniosly na scenę dużo młodości i świeżości — drugi, wykonany na tle pięknych dekoracyj, pozwolił nam na rozkoszowanie się czarodziejskim blaskiem księżyca i podziwianie pełnych wdzięku i harmonji ruchów naszych koleżanek.

Można śmiało powiedzieć, że świetlica ta była przygotowana niezwykle starannie i nie dawał się w niej odczuwać brak zasadniczej podstawy dobrego spektaklu, co przypisać należy inicjatorowi imprezy i jej kierownikowi artystycznemu prof. Christoffowi, który, jak zwykle, tak i tym razem, pokazał, jak należy wykorzystać wiele dobrych i ciekawych pomysłów.

Specjalne podziękowanie należy się również p. Furtakównie Janinie za jej ofiarną i bezinteresowną współpracę w urządzeniu imprezy.

Makowiec Lech.

Z życia krajoznawców

Wycieczka krajoznawcza do Latoszyna.

Przy dość sprzyjającej pogodzie wyruszyliśmy w liczbie 27 członków Kółka pod opieką p. prof. Stahla o godz. 15.10 z gimnazjum w Dębicy. Było ciepło, a nawet bardzo ciepło, jak na dzień marcowy, toteż nic dziwnego, że chłodny zachodni wiatr był prawdziwem zrządzeniem losu. Droga Dębica-Pilzno jest bardzo miła dla wycieczkowców, ale tylko wtedy gdy niema pyłu. Niestety nie byliśmy tak szczęśliwi i nie uniknęliśmy go. Ten niezbyt miły stan wynagradzała nam okolica, która jest naprawdę bardzo ładna. Oto lasy, zieleniejące łąki i pola, skryte w sadach wioski. Ten krajobraz urozmaicają zalesione pagórki i strumienie, ocienione olszyną, tarniną i innemi pięknemi krzewinami.

Celem wycieczki był zakład kąpielowy siarczano-borowinowy w Latoszynie. Nim jednak zdecydowaliśmy się skręcić na drogę do owego zakładu, uwagę naszą zajął wiatrak, skromnie na uboczu stojący. Rzecz w okolicach Dębicy bardzo rzadka, zresztą bardzo prostej konstrukcji, toteż oglądanie wiatraku nie trwało długo. Naszym ciceronem w tym wypadku był wieśniak, zapewne właściciel. Obok wiatraku zrobiliśmy wspólną fotografję wraz z wyżej wzmiankowanym gospodarzem.

Zakład kąpielowy w Latoszynie stoi na uboczu. Jego właściwości lecznicze znano już stosunkowo dawno, bo w XIX wieku. Obecnie rozbudowany cieszy się dużą frekwencją. Obok łazienek znajduje się zbiornik na borowinę i pensjonat. Całe to miejsce jest otoczone bardzo pięknym lasem. Tutaj nastąpił krótki wypoczynek, podczas którego zorjentowaliśmy się co do dalszej drogi, która miała doprowadzić nas do Wolicy. Niestety zamiar obejrzenia okolicy wraz z Wolicą spalił na panewce, ponieważ na przeszkodzie stanęła nam nieduża stosukowo rzeczka Ostra, naturalnie bez mostku. Jednakowoż i to wykorzystaliśmy dla obliczenia szybkości prądu i szerokości rzeki oraz trzeciej wspólnej fotografji (druga nastąpiła podczas wypoczynku w Latoszynie).

Powrót, jak zwykle na wycieczkach, był bardzo przyjemny i wesoły, Zachodzące słońce przepięknie wyzłociło chaty, lasy i pola. W powietrzu była przyjemna cisza i wiosenny chłód. Pierwsze domy Dębicy oglądaliśmy już w zmroku. Pożegnaliśmy się na rynku sakramentalnem „do widzenia“ o godzinie wpół do siódmej.

St. Skiba kl. VI.

Na obóz jedziemy.....

„Piękny kraju kaszubści, zemnio objecano,
Wszące twech dżyrściech senów wielgo cnota znano,
Nigdze ju nie nalezesz drys na swiece kątka,
Gdze be po nos Kaszubach nie beła pamiątka“.

Rozbijamy obóz nad morzem (Orłowo)! Te dwa słowa: obóz i morze. są ciągle na ustach harcerek II drużyny, spędzają nam sen z powiek, sprawiają to, że ulatujemy duchem do drogiego zakątka Polski nad siny Bałtyk. Druhna drużynowa, decydując się na obozowanie na Pomorzu, brała pod uwagę przedewszystkiem korzyści, jakie odnieść możemy z kilkutygodniowego pobytu nad morzem wśród rodaków — Kaszubów. Bierzemy pod uwagę krajoznawstwo. Tydzień obozu wędrownego, poprzedzającego obóz stały, ułatwi poznanie tamtejszych obyczajów i ludności. Wiemy, że Kaszub to niezmiernie inteligentny człowiek. W trakcie rozmowy z nim można dowiedzieć się, co się dzieje w Ameryce, w Niemczech lub Japonji, i doskonale orjentuje się w polityce, jest uświadomiony, do czego przyczyniają się książki, których u niego nie brak. Zwyczaje mają Kaszubi ciekawe, lecz o nich zamilczą. (ciekawyś bracie, jedź w tamte strony, a poznasz je). A czyż nie warto zwiedzić Gdyni, Gdańska — portów, gdzie wszystkie narody wydały sobie „rendez-vous“. Słychać tu gardłowy głos Anglika i śpiewny głos Litwina, ognistą pieśń Włocha i hawajskę gitarę, zobaczysz marzące oczy Hindusa, semicki nos Żyda, barczystą postać Czarnego, ale przedewszystkiem dominującego tu Polaka. Zwiedzenie portów, nowoczesnych, udoskonalonych urządzeń, przyczyni się do rozszerzenia naszego horyzontu wiedzy. Przez poznanie się

i zżycie z tamtejszą ludnością może się przyczynimy do zatarcia dzielnicowości Polski. Jeszcze dziś zdarza się słyszeć: ,.Pan z Wielkopolski?' „Ależ nie-z Kongresówki". Jeden drugiego uważa niemal za cudzoziemca. Poco to ćwiartowanie całości?

A teraz samo obozowanie nad ,,Wielką wodą". Tak się nam to uśmiecha po dziesięciomiesięcznej pracy, ślęczeniu nad książką lub kajetem. Wśród braci harcerskiej szybko zapomnisz o niesprawiedliwym ,,dostacie", pochłonie cię życie obozowe. Pomyśl tylko: na brzegu namiot, nad tobą lazurowy strop nieba, przed tobą cicha, wiecznie szumiąca przepaść. Okiem dojrzysz chwiejące się w sennym tańcu ciemne porosty i uciekające przed niewidzialnym wrogiem płetwo-skrzydłe twory. Tu przez cztery tygodnie pozostać — to rozkosz. Wycieczki, wywiady, jazda parostatkiem lub rybacką barką, pluskanie się w morzu, wreszcie wieczornice wpływają na nasze zdrowie, umysł i humor dodatnio. Na plaży zaś wyładujemy nagromadzoną przez rok chęć leniuchowania. Jedno dodam jeszcze, co powinno zachęcić ogół harcerek do obozu. Przy ogniu nad morzem złoży wiele druhen przyrzeczenie. O bardziej pięknem i uroczystem chyba i marzyć nie można.

Czego więcej potrzeba? Ptasiego mleka? Obejdzie się bez tego. Jedźcie druhny (szkoda że nie i druhowie) na obóz z ochotą. Macie okazję, korzystajcie z niej.

Czuwaj!
Grundboekówna Zdzisława.

Nasze karykatury....

Wśród szarych dni naszego życia szkolnego wyrósł znów jeden z nielicznych talentów. Nie towarzyszyły temu wystąpieniu ani brawa teatralne, ani bisowania publiczności. Nie było to zresztą nagłe wystąpienie, lecz powolne przygotowywanie się do zajaśnienia w pełni blasku.

Takie było pierwsze wystąpienie naszego kolegi w nowym zawodzie karykaturzysty.

W kilku rysach będę się starał przedstawić ,,ab ovo" historję jego karykatur.

Pierwszem pociągnięciem jego ręki były rysunki osławionego Krupki na tak nietrwałym (niestety) materjale, jakim jest powierzchnia tablicy klasowej lub też na lotnych świstkach papieru. Nie doczekały się one opublikowania.

Następnym etapem były szkice jakiejś twarzy, wyróżniającej się z pośród szarej masy jakąś charakterystyczną linją profilu nosa lub głowy. Zawsze wywoływały one wiele śmiechu i wesołości u wszystkich jego towarzyszy doli i niedoli. Wesołość ta była tem większą, z im większą ciekawością i zainteresowaniem przyglądał się im przybyły do klasy profesor. Szczególnie jeden z p.p. profesorów zawsze je oglądał: stawał przed tablicą w swej charakterystycznej pozie, kręcił głową z podziwu i przechylał się to w jedną, to w drugą stronę. Czasem dodana do tego zdrowa maksyma życiowa w języku naszych zachodnich sąsiadów dopełniała miary wesołości: ,,Übung macht den Meister, aber du musst genau studieren". Weiter..... i tu..... padało nazwisko naszego karykaturzysty, który się właśnie przygotowywał do rozpoczęcia swych rysowniczych prac.

Nie wiem, czy większy napływ energji twórczej, czy myśl ,,ad maiora natus sum", czy też chęć bawienia wszystkich spowodowały, że nasz mistrz

zaczął masowo producować i puszczać w obieg na terenie naszej klasy owoce swych prac Chciwe sensacji bractwo rzucało się poprosto na każdą wyrysowaną twarz, każdy profil, aby zgadywać: kto „wpadł w oko“ mistrzowi, lub uśmiać się z dowcipnego podpisu, charakterystycznego profilu lub owalu.

Każda „lekka“ godzina przynosiła jakąś nową postać. Skoro tylko mistrz uwalniał się od natrętnych zapytywań p.p. profesorów, tłumacząc się bólem głowy (broń Boże nie nieprzygotowaniem!), już ogólnie wiedziano, że po godzinie zobaczymy coś nowego. Nadzieja nas nigdy nie zawiodła.

Zawsze czynny obserwator nowych typów i postaci, szukał ich wszędzie. I znajdował. Po jakiejś bardzo interesującej lekcji mieli już wszyscy nową okazję do śmiechu.

Nie uszło to uwagi p.p. profesorów. Ich argusowe oczy odkrywały często te wśródlekcyjne zajęcia i przeszkadzały twórcy w pracy. Jego ofiarą stawał się często sam Bogu ducha winien profesor. Nic nie przeczuwając, zajmował się lekcją, gdy tymczasem ten, który przed godziną uwalniał się od natrętnych zapytywań, szkicował jego filozoficzne czoło, nos lub oceniał „na oko“ stosunek szerokości głowy do wysokości.

Czasem zdarzało się, że profesor wyciągał z pod stolika pilnie pracującego mistrza (o zgrozo!) swą własną podobiznę. Wtedy udawał, że się nie domyśla osoby, lecz jego groźna i surowa twarz wskazywały, że mu to nie przysparzało zadowolenia. Klasa zaś, posiadając bogatszą wyobraźnię, domyślała się żartu i chichotała w cichości. Pomimo groźnej miny profesora twarze promieniały radością. Udał się, wic mówiono na najbliższej pauzie.

Nie rozwinąłby się ten talent do tego stopnia, gdyby nie miał odpowiedniej reklamy. Na szczęście znalazł się wśród grona jeden profesor, głoszący nietylko wolność słowa i druku, ale nawet umożliwiający swobodne wypowiadanie się przez założenie spółki akcyjnej z organem prasowym „U nas“. Jako prawdziwy mecenas sztuki i nauki poparł i naszego mistrza, który się stał teraz ozdobą naszej klasy i celem, ciekawych i chciwych sensacji, spojrzeń.

Zdolności rysownicze naszego karykaturzysty odkrył ów profesor na swej lekcji. Nie mógł sobie odmówić tej przyjemności, aby tych karykatur nie wziąć i nie oglądać. Obejrzał i zabrał do oceny. Starał się w twórcy poruszyć ukrytą energję i rozdmuchać płomień czynu. To mu się udało. Z pod ręki mistrza wyszła nowa serja twarzy, profilów zawsze śmiesznych, pełnych rysów dowcipnych i komicznych.

Nasz polonista poznał się na tym talencie i nie pozwolił mu pozostać w ukryciu. Zbierał skwapliwie karykatury, aby je pokazać w kołach miarodajnych w nadziei uzyskania materjalnej pomocy dla młodego artysty. Ponieważ rysunki podobały się wszystkim, młody artysta zdobył uznanie i poparcie. Ostatecznem rozwiązaniem tej kwestji było umieszczenie karykatur na matrycy i przekazanie ich przez gazetkę w ręce koleżanek i kolegów do oceny. Nakład gazetki rozchwytano: karykatury były ogólną senzacją i nagrodą za pracę dla twórcy. Zainteresowanie się karykaturami było ogromne. Podpisy pod każdą figurą są przydomkami nadanemi przez klasę i innych.

Nasza klasa zachowała się wobec tych rysunków przychylnie, traktując wszystko z humorem. Tylko niektóre wyjątki z tych, których podobizny były w gazetce przedstawione w mniej lub więcej dowcipny sposób, miały miny nieszczególne. Przed wydaniem gazetki starali się oni wszelkim możliwym sposobem nie dopuścić do opublikowania ich karykatur, starali się przez ostrą i zjadliwą krytykę obniżyć ich artystyczną wartość, lub wprost niszczyli je.

To nietylko było bezcelowe, ale nawet wywołało wręcz przeciwny skutek, bo sprowadzało na ich głowę grad ironicznych żartów, uśmiechów i kpin.

Inni znów zachowywali się całkiem obojętnie. Rzucanej im rękawicy w postaci przydomka z karykatury nie podnosili. Docinki i żarty na ten temat zbywali milczeniem lub dobrodusznym uśmiechem. Wiedzieli, że opozycyjne nastawienie się do tego byłoby dolewaniem oliwy do ognia. „Milczenie jest złotem — rozumieli.

Poza karykaturami istniał jeszcze jeden rodzaj rysunków, trochę odmienny od pierwszego. Niestety część ich zaginęła bez opublikowania.

Rysunki te wzbudzały najwięcej wesołości, ponieważ były wytworem fantazji bogatej i pełnej pomysłów. Były to obrazy jakichś legendarnych smoków i hipocentaurów zamierzchłych czasów, przeniesionych ręką naszego mistrza gdzieś z odległych czasów starożytnej Hellady czy Kaukazu do naszej klasy.

Zaczęło się od „lwa salonowego".

Rysunek przedstawiał lwa z głową znanej osobistości na terenie gimnazjum. Lew spoczywał w pozycji egipskiego sfinksa, z oczami pełnemi tajemnicy i grozy. Huraganowy śmiech i podziw był nagrodą za trud i pracę. Musiałby być bardzo obojętny na wszystko ten, ktoby się wstrzymał od śmiechu na widok groźnej miny „lwa", z charakterystycznemi rysami i fałdami twarzy i głowy. Kilka białych lwiątek (czytaj: piesków), jego nieodstępnych towarzyszy skakało dookoła jako uzupełnienie i urozmaicenie nudnej panoramy pustyni.

Innym znów razem przyprawiał nasz mistrz do tułowia zwierzęcia dwu-lub czworonożnego jakąś głowę z rysami swego towarzysza, co razem dawało twór nienależący do żadnej z epok geologicznych, a świadczący o niewyczerpanym zasobie tego rodzaju obrazów.

Powstawały z tego powodu pretensje i gniewy, żądanie zadość uczynienia w postaci nagrody pieniężnej za tak uszczypliwe „tak nie licujące z godnością człowieka" (słowa jednego z przeciwników karykatur) przedstawianie ludzi i zwierząt w jednej postaci. Na głowę mistrza padały treściwe, ostre jak sztylet słowa, a w duszy wrzała żądza zemsty. Lecz nasz p. profesor-mecenas bronił mistrza całą mocą swej wymowy, a „pokrzywdzonych" starał się pocieszyć; mówiąc, że od takiego losu nie są wolni nawet wysocy dygnitarze państwowi, że obrażanie się z tego powodu jest objawem małej kultury, parafjańszczyzną i t. d. Swą mowę skończył zapewnieniem, że co do tego mogą się wszyscy wypowiedzieć na łamach gazetki, do której jest wstęp wolny dla każdego.

Karykaturzysta zaś rósł jak na drożdżach, słuchał pochwał i rozpoczynał nową karykaturę.

Zakres jego pracy rozszerzył się na teren całej szkoły, w pierwszym rzędzie skierował mistrz swoje oczy na salę konferencyjną i stamtąd czerpie swoje typy, co nie jest już dla nikogo tajemnicą.

Lecz tu zawahał się nieco mistrz:

Czy je opublikować, czy nie?

Gdy „tak", zawiesi sobie nad głową miecz Damoklesa, który (jako „miecz" Pitagorasa) może wnet spaść na jego głowę. Gdy zaś „nie", pozbawi się sam zasłużonej pochwały, słów zachęty i poparcia ze strony czcigodnego mecenasa

Wybrał, jak widzicie, to pierwsze.

— A miecz Damoklesa? - zapytacie.

— No, niema jeszcze tak źle: zresztą „niema takowych terminów, z którychbyśmy viribus unitis przy Boskich auxyljach wyjść nie mogli"

Wallst VIII b.

Młode pióra.

Polskie morze.

Nasze polskie morze.
Bałtykiem się zwie.
Że je kochać trzeba,
Każdy Polak wie.

Choć te sine fale,
Czasem groźne są,
I wszystko strącają
W swą bezkresną toń.

Jednak drogie sercu
Każdego Polaka —
Czy to bogatego
Czy nawet żebraka.

Czerwcówna Wanda Kl. I. b.

Nasze góry.

Nasze piękne góry
Śnieżne szczyty mają,
Śnieżno-białe orły
Nad niemi latają.

Wśród skał ukryte
Drzemie Morskie oko,
Na rąbek błękitu
Spogląda wysoko.

A gdy dzień się kończy
I już ściemnia się,
Góry wyglądają
Jak w bajce lub śnie!

Śliwianka Józefa kl. I. b.

Droga....

— — —Spojrzeniem wlokę
po krzywych, przydrożnych płotach;
przede mną — — — droga i tęsknota —
a wtyle —miasto: szary, brzydki prostokąt.
— — — dalej — i dalej przed siebie — —
(tak szybko przestrzenie mijano . . .)
Zpod nóg mych wstęgą droga się wywija—
a kończy się w niebie.
Gdzieś — — hen w oddali — —
na samym widnokręgu
gdzie ledwo wzrokiem sięgam —
łuna się pali.
Czerwona płonie purpura,
Krwawe rozlało się morze...
— — to zorza!
. . . . i — fale. . . chmury!
— — Aż tam... aż tam... dojść muszę —
serce nakarmić głodne
i w rannej zorzy chłodnej
zatonąć z duszą!

Kryształ jej czysty zamącę,
krzykiem zakłócę——
— — a potem — —
—utopię w niej moją tęsknotę
i — wrócę
Jak wolno chwile, godziny —
w wieczność się wloką— —
— — — Przede mną — droga jasnym w niebo godzi klinem
... gdzieś w tyle - miasto - szary, mały prostokąt...

Mach Wilhelm kl. VII.

Czas szkolny minął....

Czas szkolny minął jak echo w oddali....
Radości, troski, dwóje i zmartwienia
Już nie zatoną w morzu zapomnienia,
Ani w spienionej życia mętnej fali.
Lato „studenckie“ to jeden sen złoty,
To pasmo pracy, żartów i zabawy
I pełne życia hałasu i wrzawy,
A często różnych wybryków i psoty.
Choć różnie bywa, bo nie zawsze świeci
Złociste słońce jasno, cicho z góry:
Często horyzont zakrywają chmury
I lada iskra wielki pożar wznieci.
Lecz mimo tego nie traci się ducha...
Trochę się „zrobi“, resztę się „wykręci“,
Bo student czuje, gdzie i co się święci;
Cało z opresji wychodzi psiajucha
Gdy więc te mury opuszczać przychodzi,
Gdzie upływało nam szczęśliwie życie.
Westchnienie z piersi uleci choć skrycie.....
Oko wilgotną mgłą smutku zachodzi.
I smętna nuta gdzieś tam jęknie w duszy
I przez czas długi odzywać się będzie
I nikt z nas wcześniej jej się nie pozbędzie,
Póki czas — lekarz jej już nie przygłuszy.

Siawek VIII b.

Buda na języku.

Doszły nas wieści, że gospodarz klasy VI. zagadnął zaraz w pierwszym dniu po ostatniej konferencji okresowej jednego ze swych wychowanków w ten mniej więcej sposób: Powiedz mi, mój kochany, co twój ojciec powie, jak dowie się o twych postępach w nauce. Będzie zły — panie profesorze — i jeśliby go pan zobaczył, radzę zejść mu z drogi.

Do redakcji naszego pisma zgłosił się niedawno jeden z członków ciała uczniowskiego, młodzieniec niezwykłych zalet i zdolności, który, wręczywszy redaktorowi plik papierów, począł drżącym głosem uskarżać się na trudne warunki, w jakich dane mu jest „tworzyć“ w domu, gdzie — jak twierdził— patrzą na niego, jak na warjata, a wszystkie świeżo powstałe poezje uważają za idjotyzm. Przeczytawszy przyniesione rękopisy — redaktor wyrzekł te oto słowa: U nas, w redakcji, możesz się, kolego, czuć zupełnie tak samo, jak u siebie w domu.

Korespondent „U nas“ posłyszał przypadkowo rozmowę, jaką prowadził jeden z naszych „sztorców“ z kimś drugim, którego nie zna.

— Gdyby nie ja i moja „dziwocha“ — chwali się nasz Michał — to w gimnazjum nie byłoby nigdy żadnych imprez, ani też przedstawień. — Na to tamten zdumiony: — Jakto, czyż wy macie prawo odwołać przedstawienie? — Eee... co to — to nie, ale posiadam klucze od sali.

Jak nam donoszą — znajduje się na terenie naszego gimnazjum kolega, który za główny cel swego żywota uważa dobicie się kiedyś stanowiska artysty dramatycznego. Do tego stopnia jest tą ideą przejęty, że nawet słowa, którerni operuje — mają w sobie coś z teatru. Ostatnio naprzykład, zapytany przez kogoś, jak spędził dzień w szkole — odparł: — Lekcje wypadły świetnie, wszystkie miejsca były zajęte — tylko sufler — kolega podpowiadał za głośno, w wyniku czego otrzymałem dwóję od profesora, od reszty zaś kolegów — niemilknące długo brawa.

Makowiec Lech.

Kronika

17.III. 1935. Obchód Imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego.
Program: Orkiestra 5 p. strz. konnych, inscenizacja: Krwawym szlakiem, chór P. W. K. do O. K., deklamacje, inscenizacja: Leguny w raju. Imprezę urządzono dla wojska, obecnych 340 osób, imprezą kierował prof. Christoff.

18.III. 1935. Dzień ten jako wigilja Imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego nosił na sobie wszystkie znamiona dnia wyjątkowego. Wszyscy zajęci byli zbliżającą się uroczystością mającą uczcić dostojnego solenizanta. W dniu tym odbyła się staraniem Szkolnego Hufca P. W. i Żeńskiej Drużyny Harcerskiej w auli gimnazjalnej impreza o podniosłym charararakterze i z nader bogatym programem. Złożyły się na nią: deklamacje i dwie inscenizacje: Leguny w raju w wykonaniu Harcerzy i Harcerek i Krwawym szlakiem w wykonaniu Hufca P. W. Nadmienić należy, że jednym z głównych punktów programu był sejmik uczniowski o charakterze sprawozdawczo-manifestacyjnym.

19.III. 1935. Staraniem II-giej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej odbył się w sali Sokoła uroczysty koncert, wykonany przez p. sędziego Wojtasa i panią Wojtasównę. Śpiew solowy WP. Majorowa Szydekowa.

7.IV. 1935. W dniu tym odbyła się w auli gimnazjalnej pod kierownictwem pana prof. Christoffa impreza podhalańska klasy II a dla wojska. Obecnych było 320 żołnierzy 5 p. strz. konnych.

Zestawienie kasowe

Sklepiku uczniów państwowego gimnazjum im. Kr. Wł. Jagiełły w Dębicy.

Z dnia 6/IV 1935 r.

Stan czynny	Zł.	gr.	Stan bierny	Zł.	gr.
Gotòwka	8	46	Dług w C. Z. G.	1 70	—
Towar	109	08	Majątek sklep.	52	31
Długi	20	24			
Zapasy	24	63			
Poż. Narodowa	50	—			
Na koncie w C. Z. G.	10	—			
Razem	222	41		222	41

Ogłoszenie:

Poleca się niezrównanej jakości przybory szkolne w sklepiku po cenach bardzo niskich.

Sklepikarz.

Wydawca: Centralny Zarząd Gmin. — — Redaktor odpow.: Mgr. Dąbrowski Michał
Redaktorzy: Kwiatkowski Kazimierz, Mach Wilhelm — — Druk Hauser Dębica